

KULTURA

Jacek Wakar, Polskie Radio

Zdaje się, że worek ze sztukami Hanocha Levina nie ma dna. Jakiś czas temu polskie prapremiery nieznanych jeszcze jego dzieł odbywały się mniej więcej co dwa tygodnie, teraz zdarzają się nieco rzadziej, ale też regularnie. Nieoceniona Agencja Dramatu i Teatru Elżbiety Manthey opublikowała już cztery księgi twórczości izraelskiego pisarza, w trzech pomieściła dorobek dramatyczny (rzecz jasna, niepełny), w ostatnim przede wszystkim skecze kabaretowe i piosenki. W efekcie Levin zajmuje w mojej bibliotece spory kawałek półki, można do niego powracać i bawić się w najbardziej różnorodne zestawienia. Ta sztuka zdaje się lepsza od tamtej, ta – nie wiadomo dlaczego – jeszcze nie trafiła na scenę, a tamta wydaje się tylko wata między istotnymi tytułami. Całość jest tyleż fascynująca, co nierówna. To zresztą zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę rozległość dzieła autora „Kruma”.

Jest on bezdyskusyjnie najczęściej wystawianym w Polsce obcojęzycznym pisarzem dramatycznym. Można wymieniać niemal w nieskończoność utwory, które już ze sceny znamy, i zastanawiać się, czy wszystkie wzbogaciły nasz obraz Hanocha Levina. Zapewne nie. Levin ma w swym dorobku rzeczy wybitne („Krum”, „Shitz”, „Udręka życia”), ale ma również przeciętne albo i nawet zbędne. Znów – przy tak olbrzymim dorobku sprawa to najzupełniej oczywista. „Ceremonie zimowe”, opublikowane w tomie „Ja, ty i następna wojna” jako „Zimowy pogrzeb”, nie należą do żadnej z tych kategorii. To Levin, który łączy klaunadę z gorzkim namysłem nad szaleństwem świata i ludzkim zagubieniem. Levin, który przygląda się grze życia i śmierci, wesela i pogrzebu, ale za chwilę swoje refleksje przekłuwają serią żartów. Zatem Levin, którego już dobrze poznaliśmy, ale i w całkiem niezłej formie. A przecież wciąż najchętniej słuchamy piosenek dobrze zapamiętanych.

„Ceremonie zimowe” to projekt warszawskiego Teatru Montownia. Wyreżyserował przedstawienie Adam Sajnuke i użył mu przestrzeni prowadzonego przez siebie Teatru Warszawy. Do Adama Krawczuka, Rafała Rutkowskiego i Macieja Wierzbickiego (tym razem zabrakło w obsadzie Marcina Perchucia) dołączyły m.in. Izabela Dąbrowska i Anna Moskał. Montownia funkcjonuje od dwóch dekad i raz na jakiś czas musi na nowo samą siebie wymyślać. Nowy spektakl to jednak nie jest ten przypadek. Raczej ćwiczenie stylistyczne, próba odnalezienia się w innej niż najczęściej konwencji i tonie opowiadania. Próba – powiedzmy od razu – udana.

Adam Krawczuk gra wiecznego kawalera Laczka Bobiczka, który usiłuje zaprosić na pogrzeb swej matki rodzinę swojej ciotki. Ta jednak zaproszenia na wszelkie sposoby unika, bowiem za kilka godzin wydaje za męża własną córkę. Wesele zaraz po pogrzebie to niemożliwe do pogodzenia. No więc Krawczuk ukazuje niezgułę Bobiczka niczym domorosłego Chaplina, jest wzruszający i irytujący jednocześnie, ma wypisaną na twarzy zgodę na wyroki świata i kompletne ich niezrozumienie. Raszes Macieja Wierzbickiego powtarza wszystko, co mu podpowiada żona Szracja (Izabela Dąbrowska), bo samodzielne myślenie nie jest jego najmocniejszym atutem. Są nim za to oddanie i miłość do najbliższych. Wierzbicki gra to oczami, przygarbieniem zwalistej sylwetki, timbrem głosu – bardzo pięknie. Wreszcie najbardziej zaskakujący spośród Montowniaków Rafał Rutkowski. Pojawia się niemal wyłącznie w oknie kamienicy jako profesor Kipernaj, typ dość

obmierzły, posiadający tyle samo natręctw, co pretensji do świata. I bezustannie perorujący, do niewytrzymania. Łatwo byłoby zagrać Kipernaj nutą wyłącznie komediową, ale Rutkowski wybrał znacznie ciekawsze rozwiązanie. Owszem, bywa upiornie śmieszny, ale za chwilę zdaje się zasnuty mgłą, jakby wiedział więcej niż inni i mocno mu to ciążyło. Obserwowałem z zadziwieniem zamykanego zwykle w jednym typie ról aktora i pomyślałem sobie nagle, że może ten jego Kipernaj patrzy z góry, bo i z góry jest. Może to Bóg, a choćby i pośledniego sortu?

Warto patrzeć w „Ceremoniach zimowych” na drobiaźną małą kroczkami Izabelę Dąbrowską, to liryczną, a to wpadającą w furję, bo grając na stałe w Teatrze Dramatycznym, nie dostawała dotąd podobnych zadań. Świetna jest również Anna Moskał jako fertyczna matka pana młodego. Klnie jak szewc, wyrzeka na wszystko i wszystkich, ale nie ma w tej roli pustego popisu.

Raczej gorycz świadomości, że się samej siebie nie przeskoczy. Bliska zapewne niejednemu na widowni.

Adam Sajnuke zawęży skalę „Ceremonii zimowych”, wycina poboczne postaci, łączy realizm z metaforą. Czasem wychodzi mu lepiej, czasem – jak w sekwencji w wyimaginowanych Himalajach – nieco gorzej. Jednak to w mniejszym stopniu sprawa reżysera, a w większym autora, bo to jemu przydałyby się dobrze naostrzone nożyczki, zatemperowany ołówek albo ostrzejsza selekcja własnych pomysłów. Ważne jednak, że Sajnuke w swym przedstawieniu nie udaje, że ma ono zmienić czyjeś życie. Daje półtorej godziny zabawy, z odrobiną metafizycznej goryczy. A to już wcale nie mało. ©

„Ceremonie zimowe” Hanocha Levina | reżyseria: Adam Sajnuke | Teatr Warszawy w koprodukcji z Teatrem Montownia w Warszawie

Każdemu wolno umrzeć?

TEATR MONTOWNIA „Ceremonie zimowe” to nie najlepszy i nie najgorszy utwór Hanocha Levina. Adam Sajnuke zgrabnie połączył w nim refleksję nad szaleństwem świata z zabawną galerią bohaterów dramatu

